

## SPOKO, TO TYLKO MONOGRAFIA

Poniższe uwagi mają charakter wstępny. Po przeczytaniu książki dr. Sławomira Cenckiewicza i dr. Piotra Gontarczyka mogę stwierdzić, że pod względem faktograficznym jest przygotowana bardzo rzetelnie. Autorzy włożyli w nią mnóstwo pracy i dotarli do materiałów wcześniej nieznanymi. Zaś stawiana przez nich teza, że prezydent Lech Wałęsa przekazywał Służbie Bezpieczeństwa informacje na temat sytuacji w stoczni, jest zapewne prawdziwa.

Problemem jest jednak to, że – między innymi ze względu na opisany przez Gontarczyka proceder niszczenia akt TW „Bolka” – część dokumentów, na których wywód jest oparty, to kserokopie. Brakuje oryginałów, które ułatwiłyby formalną weryfikację ich autentyczności, oddzielenie prawdziwych dokumentów od esbeckich fałszywek. Dlatego też nie mam całkowitej pewności, ale wydaje mi się, że z bardzo dużym prawdopodobieństwem TW „Bolek” to Lech Wałęsa.

Z dokumentów wynika, że werbunek TW „Bolka” ze względu na masowość akcji SB w grudniu 1970 r. był przeprowadzony w sposób odbiegający od obowiązujących standardów – najpierw typowanie, potem rozpracowanie, wreszcie odbycie spotkań werbunkowych z takimi elementami, jak zobowiązanie do współpracy czy samodzielny wybór pseudonimu. Z powodu takiego trybu werbunku możliwe jest zatem dopuszczenie hipotezy, że Lech Wałęsa nie zdawał sobie wtedy sprawy z tego, że jest tajnym współpracownikiem. Warto pamiętać, że wiedza na temat funkcjonowania bezpieki i jej procedur była wówczas znikoma. Z jego perspektywy mogło to wyglądać tak, że esbecy go pytali, a on odpowiadał, coś im sugerował, częściowo zgodnie z własnym widzeniem sytuacji, częściowo starając się „wyjść naprzeciw” oczekiwaniom interlokutora. Myślę, że dzięki tym paru zachowanym dokumentom widać, że Wałęsa się nie zmienił – uważał, że otwarta wojna na ulicach jest złym rozwiązaniem, że należy unikać rozlewu krwi, że lepiej kombinować z władzą, niż się z nią bić. A Służba Bezpieczeństwa te odruchy wykorzystywała.

Z analizy ogłoszonych dokumentów można sądzić, że zasadniczy okres współpracy TW „Bolka” przypadł na lata 1971–1972, kiedy kilkanaście razy spotkał się z funkcjonariuszami SB. Od roku 1973 zaczął się dystansować, a spotkania miały na celu raczej dyscyplinowanie coraz bardziej niepokornego i wymykającego się spod kontroli „Bolka”. Nie szedłbym tak daleko, jak autorzy „SB a Lech Wałęsa ...”, którzy dowodzą, że regularna współpraca TW „Bolka” trwała co najmniej do 1974 r. Uważam, że ze strony autorów doszło do pewnej nadinterpretacji dość wrywkowych dokumentów z lat 1973–1974. Jak wskazuje wiele zbadanych już przypadków, proces wyrejestrowywania TW mógł się ciągnąć latami i tak tłumaczyłbym, dlaczego dopiero w 1976 r. wyrejestrowano TW „Bolka”, choć od jakiegoś czasu raczej przysparzał kłopotów, niż przynosił pożytek.

Wyjaśnienia Lecha Wałęsy, który najpierw twierdził, że TW „Bolkiem” mógł być podsłuch, a ostatnio, że mógł to być jeden z jego kolegów ze stoczni (wskazał go zresztą nieomal palcem), trudno traktować poważnie. Z drugiej strony trudno się oczywiście dziwić, że przy jego charakterze, trudnej sytuacji w jakiej się znalazł, i emocjach wokół sprawy zachowuje się tak nieracjonalnie. Ma przecież prawo się bronić, choć styl, w jakim to robi, może budzić wątpliwości.

Moja główna uwaga do pierwszej części książki, opracowanej przez Sławomira Cenckiewicza, dotyczy tego, że nie udało się autorowi stwierdzić, które dokumenty zostały sfalszowane przez SB w latach osiemdziesiątych. Wiadomo, że jakieś były fałszowane, prawdopo-

dobnie te, które podrzucano Annie Walentynowicz i ambasadzie Norwegii, ale nie ma co do tego pewności. Ten brak ma podstawowe znaczenie dla wiarygodności tego, co zostało z akt TW „Bolka” i w związku z tym – dla pełnego udowodnienia tezy autorów. Dlatego też budzą moje wątpliwości takie sformułowania jak „wszystko wskazuje na to”. Z punktu widzenia historyka lepiej było powiedzieć tylko, że „wiele na to wskazuje”. Ta część książki jest udokumentowana rzetelnie, ale z powodu niemożności uzyskania konkluzywnych wniosków co do tego, co zostało sfalszowane, ci, którzy mówią, że nie wierzą we współpracę Lecha Wałęsy, mają argument na rzecz swojej opinii.

Druga część książki dotyczy okresu od 1978 do 1989 roku. Cenckiewicz podejmuje w niej próbę wyjaśnienia, czy współpraca Lecha Wałęsy, którą obaj autorzy przyjmują jako pewnik, miała wpływ na jego działania i stanowisko polityczne, które zajmował w owym czasie. Rzeczywiście, jeśli Wałęsa był informatorem SB, to szantaż ze strony władz, strach przed tym, że dowiedzą się koledzy z opozycji czy sama jego pamięć o tym, mogły wpływać na to, co robił – i warto było to zbadać. Do tej części mam jednak zarzut metodologiczny. Cenckiewicz poddaje analizie tylko tezę, że taki wpływ miał miejsce, ale nie konfrontuje jej z tezą odwrotną. Podaje przy tym informacje z bardzo różnych źródeł, od wiarygodnych jak „Dzienniki polityczne” Rakowskiego, po zupełnie niewiarygodne jak zaczerpnięte z drugiej lub trzeciej ręki wypowiedzi funkcjonariusza KC PZPR Michała Atlasa (nawiasem mówiąc, nadużyciem jest przytoczenie bez autorskiego komentarza fragmentów książki z 2001 r. Marka Barańskiego, osoby, która współpracowała z SB w stanie wojennym i brała udział w inspirowanych akcjach propagandowych). Konkluzja Cenckiewicza nie jest jasna – wydaje się jednak, że skłania się on do zdania, że w ostatecznym rachunku współpraca Wałęsy z początku lat siedemdziesiątych nie miała raczej wpływu na postępowanie w latach osiemdziesiątych, a na pewno nie miała wpływu na to, co robił w kluczowych momentach, czyli w Sierpniu ’80 czy w 1982 roku, kiedy blisko rok był izolowany.

Trzeba jednak przyznać, że okres ten jest trudny do udokumentowania. Wiemy, że na szczytach władzy wiedziano o agenturalnym epizodzie Wałęsy, nieznanne są jednak jakiegokolwiek próby politycznego wykorzystania tej wiedzy poza operacjami samej Służby Bezpieczeństwa, mającymi na celu zdyskredytowanie Wałęsy w środowisku opozycyjnym, a może i zastraszenie go.

Trzecia część książki, autorstwa Piotra Gontarczyka, dotyczy losów akt „Bolka” w latach dziewięćdziesiątych i oparta jest na dokumentach sądu lustracyjnego, prokuratury oraz uzyskanych z ABW. Analiza tych dokumentów jest przekonująca i w mojej opinii to te dokumenty, nie zaś sam w sobie epizod z lat siedemdziesiątych, obciążają Wałęsę. Podejmując akcję „czyszczenia” akt, niejako przyznał zresztą, że te dokumenty były dla niego kłopotliwe. Szczególnie dobrze udokumentowane są rozdziały dotyczące niszczenia akt w Warszawie i w Gdańsku oraz śledztwa w tej sprawie. Operacja ta zakończyła się sukcesem, bo z wyjątkiem paru donosów „Bolka” nie zachowało się prawie nic i z tego właśnie wynika niemożność postawienia ostatecznych wniosków, np. na temat efektywności działań „Bolka”. Wiadomo, że z wypożyczonych przez prezydenta Wałęsę dokumentów nie wrócił cały zbiór mikrofilmów, zawierających ponad dwa tysiące stron. Trudno nawet stwierdzić, co dokładnie się w nich znajdowało. Mogły to być zarówno dokumenty z lat siedemdziesiątych, jak i co bardziej prawdopodobne, z lat osiemdziesiątych. Część z nich zawierała informacje dotyczące Wałęsy, ale nie tylko jego. Także wielu innych znanych działaczy opozycji.

Również o tej części, podobnie jak o książce jako całości, trzeba jednak powiedzieć, że jest nierówna. Są w niej elementy według mnie zbędne, jak rozdział o lustracji (np. kto był

za, a kto przeciw) czy o upadku rządu Jana Olszewskiego, które nie mają bezpośredniego związku z zasadniczym tematem pracy: czy Wałęsa to TW „Bolek” i co z tego wynikło. Są natomiast bardzo nasycone dosyć jednostronną analizą wydarzeń politycznych.

Co do aktualnej otoczki politycznej książki, to warto wiedzieć, że sprawa publikacji dokumentów bezpieki na temat opozycji gdańskiej wypłynęła, zanim doszło do władzy PiS i zanim IPN zaczął być postrzegany jako organ prowadzący „PiS-owską politykę historyczną”. Nie później niż w 2003 r. w związku z 25. rocznicą utworzenia gdańskich Wolnych Związków Zawodowych do programu badawczego IPN dotyczącego opozycji przedsierpniowej włączono WZZ. Planowano, o ile pamiętam, wydanie dwóch lub trzech tomów dokumentów SB dotyczących jej działań wobec opozycji demokratycznej w Trójmieście. Później w trakcie pracy stwierdzono, że dokumentów na temat Lecha Wałęsy jest tak dużo – a zwłaszcza, że istnieje problem losów tych dokumentów w latach 1992–1995 – że muszą one zostać wydzielone do odrębnej publikacji. W rezultacie ustalono, że najpierw wyjdzie tom „SB a Lech Wałęsa”, a później jeden albo dwa tomy „SB a opozycja demokratyczna w Gdańsku”. Polityka historyczna dwuletniej IV RP wpłynęła więc bardziej na stylistykę wstępu i zakończenia książki oraz na wprowadzenie elementów związanych z ideologią PC (która jest przedstawiana jako „właściwa droga” rozliczania przeszłości) niż na analizę samych dokumentów. Jest to według mnie jeden z mankamentów tej książki. Mankamentów także w sensie dydaktycznym, ponieważ polityczny zamysł autorów staje się zbyt jednoznaczny. Gdyby Cenckiewicz i Gontarczyk pominęli te elementy, między innymi rozdział o lustracji i obaleniu rządu Olszewskiego – wątki, które dla meritum sprawy są drugorzędne, natomiast politycznie pierwszorzędne – a skupili się na analizie dokumentów, sytuacji, w jakiej te dokumenty powstawały i czego dotyczyły (np. w pierwszej części brakuje mi analizy sytuacji Stoczni Gdańskiej w latach siedemdziesiątych, w tym działań innych TW) i na tym, jak były niszczone, ich książka stałaby się bardziej przekonująca.

Pełna bezstronność jest dla historyka niemal niemożliwa do osiągnięcia. W książce Gontarczyka i Cenckiewicza widać to jednak zbyt wyraźnie. To wynika zresztą, jak sądzę, z ich autentycznych przekonań. Piszą „pod tezę” i pewnych elementów tej tezy nie próbują podważać. Jako, że problem Lecha Wałęsy ma aspekt polityczny, jednostronne elementy w ich pracy będą im naturalnie wytykane i szkodzą jej wiarygodności.

O ile w ostatecznym rozrachunku uważam, że nic złego nie było w tym, że książka została wydana przez IPN (mimo, że swego czasu zgłaszałem co do tego wątpliwości), o tyle niefortunny wydaje mi się wstęp Janusza Kurtyki. Z jednej strony dlatego, że nadaje on tej pracy zbyt wysoką rangę i przenosi odpowiedzialność za treść książki z autorów na kierownictwo instytutu – nie każda wszak publikacja IPN opatrzona jest wstępem prezesa. Z drugiej strony zaś z uwagi na co najmniej jedno zawarte w tym tekście stwierdzenie „Badania nad »Solidarnością« mogą być podejmowane w sposób nieograniczony dopiero po szczegółowym wyjaśnieniu problemu i charakteru relacji Lecha Wałęsy ze Służbą Bezpieczeństwa”. Nie mogę się z tym zgodzić. Badania nad „Solidarnością” mogą być podejmowane w sposób nieograniczony, nawet jeżeli nie będziemy mieli wyjaśnionych relacji Lecha Wałęsy ze Służbą Bezpieczeństwa, bo przecież „Solidarność” to nie był tylko Lech Wałęsa!

Autor jest obecnie przewodniczącym Kolegium IPN. Powyższa recenzja ukazała się w „Dzienniku” 27 VI 2008.